



WIANO I POSAG. ⁸⁾

Co do wiana, wiadomo przecież, że wyraz ten od wieków ściślej związany był z tem, co mąż płacił „za wieniec“, a wreszcie, gdy dawne wieńcowe przekształciło się w wyposażenie żony przez męża, ściślej z tem wyposażeniem, aniżeli z wyposażeniem, które młoda otrzymywała od rodziców i wносиła w dom męża, gdyż to była rzecz nowa, a tamto odwieczna.

Gdy więc przyszło nazwać to, co mąż zabezpieczał żonie, nikt nie miał najmniejszej wątpliwości, jak to nazwać, gdyż miał na to zdawna używany i utarty wyraz: wiano; gdy zaś przyszło nazwać to, co młoda wносиła w dom męża, tej pewności brakowało, więc jedni, mniej oświeceni, przywykli do swych wyrazów, zwali to także wianem, gdyż już tak zaczęli nazywać wyprawę, drudzy zaś więcej oświeceni i tem chętniej (bo to nie przedstawiało dla nich trudności) chwytający się świeżych, obcych wyrazów, posagiem, a posagiem nie tylko dla nowości, ale przedewszystkiem dlatego, że w chwili, kiedy nasi słowiańcy nowożeńcy poczęli stawać na ślubnym posagu, nastąpił już ten przewrót ekonomiczny, że nie w tem była główna rzecz, co na posagu otrzymywała młoda od młodego, ale w tem, co rodzice dawali młodemu za młodą. Jeżeli więc wtedy była mowa o posażeniu, to mówiono ciągle przedewszystkiem o tem, co na posagu otrzymała młoda od rodziców lub młody za młodą, a nie o tem, co młody zapisywał żonie, bo to zresztą zwało się z dawna wianem i było wciąż



KSIEŻĄCY Z ŁOWICKIEGO W STROJACH WESELYNYCH. fot. ze zb. P. T. Kr.



uważane (jak świadczy nasze stare prawo-dawstwo) jako zapłata za wieniec.

I oto przyczyna, że w naszym dawnym prawodawstwie wyraz posag musiał się ustalić i ustalił się rzeczywiście jako oznaczenie wyposażenia córki przez rodziców, wiano zaś jako oznaczenie wyposażenia żony przez męża. To także przyczyna, że w niektórych stronach, jak to już zauważyliśmy na samym wstępie, lud nasz wyposażenie córki ruchomościami zowie wianem, a wyposażenie gruntem posagiem; wyprawę zwano już wianem, za nim przyszedł posag, a posag wszedł w użycie, gdy na ślubnym kobiercu, „na posagu“ młoda otrzymywała od rodziców przedewszystkiem grunt, wyposażenie w ziemi. Ogół wszakże (masy ludowe) brał z dawna jeden wyraz zamiast drugiego, aż wreszcie wszelka różnica znaczeniowa pomiędzy wianem a posagiem przestała istnieć. W innych językach słowiańskich nastąpiło to wcześniej, u nas najpóźniej.

*

Takie naszym zdaniem są dzieje wiana i posagu w krótkości opowiedziane; powiadamy: „naszym zdaniem“, gdyż wszystko, cośmy o tem powiedzieli, zawdzięczamy wyłącznie własnym studjom. Niema bowiem u nas, a i w całej Słowiańszczyźnie, o ile nam wiadomo, dzieła choćby takiego, jakim jest, dajmy na to, u Niemców Karola Weinholda: *Die deutschen Frauen in dem Mittelalter*, a co gorsza, brak nawet po temu w dostatecznej mierze odpowiednich prac przygotowawczych.

4. Dawne nasze zaślubiny.

Dla uzupełnienia rzeczy niech nam jeszcze będzie wolno powiedzieć choć słów kilka o samych naszych zaślubinach pogańskich, jak one się jeszcze w zachowanych dotąd naszych rytuałach weselnych przedstawiają.

Zaślubiał młodych niezawodnie „starosta“ rodu (bo to czasy drużyn i wspólnot rodowych), który w tym celu sadowił ich na przygotowanym stolcu, jak już wiemy, ostonionym skórą z ofiarowanych z powodu uroczystości owiec, i miał może do nich stosowną przemowę. Przed młodymi stał stół, który u naszych przodków stanowił rodzaj ołtarza domowego¹⁾,

gdyż na nim spoczywał zwyczajnie chleb, po ogniu największa świętość naszych przodków. Stąd to dzisiaj jeszcze grzechem jest podług wierzeń naszego ludu siadać na stole, na którym kładzie się chleb, a gdy choć okruszyna chleba upadnie komu na ziemię, podnosi ją ze czcią i całuje. W chwili, kiedy młodzi siadają do zaślubin na stolcu, stół, przed nimi stojący, jest istotnie ołtarzem domowym (choćby nim zwyczajnie nie był), gdyż spoczywa na nim chleb (chleby), ofiarowany bogom z powodu zaślubin (a może i ser, gdyż i ser obok chleba napotykamy w wielu ceremoniach weselnych) i, jak ofiary zwyczajnie uwieńczony. Przez chleb (i ser) ofiarny przerzucana była chustka, w formie wąskiej opaski złożona, ufarbowana może na czerwono, bo to kolor naszego najwyższego boga, opiekuna związków małżeńskich. Na dany przez starostę znak młodzi składają ręce na chlebie ofiarnym, każde z nich ręką prawą, tam, gdzie przez chleb przerzucona owa chustka, a składają w ten sposób, że ręka młodej dłonią do góry idzie na spód, ręka zaś młodego spada dłonią na nią i ujmuje rękę młodej. W ten sposób, jak się zdaje, bierze młody nabytą małżonkę w prawne posiadanie. Gdy to nastąpiło, starosta wiązuje ręce młodych ową chustką, leżącą na chlebie, i zapewne wymawia jakieś rytualne słowa, których autentycznie nie znamy. Następowo teraz błogosławieństwo młodej pary przez starostę, rodziców, krewnych i wszystkich uczestników wesela, podczas którego młoda para, zostając z rękami związanymi, nachylała głowy ku sobie, gdyż błogosławieństwo odbywało się zapewne w ten sposób, że błogosławiący brał w ręce chleb ofiarny, spoczywający na stole obok chleba, na którym spoczywały ręce nowożeńców, a trzymając ten chleb to nad rękami młodych, to nad ich głowami wymawiał słowa błogosławieństwa. Gdy błogosławieństwo ukończono, starosta dotykał ręką rąk młodych na znak zawarcia związku małżeńskiego¹⁾, młodzi wtedy powstawali i głębokim ukłonem dziękowali za to rodzicom i wszystkim uczestnikom, poczem następowo adoracja ofiary chleba (i sera), spoczywającej na stole, adoracja, polegająca na trzykrotnym, uroczystym obejściu wszystkich uczestników około stołu w kierunku „za słońcem“. (Był ten pochod rodzajem uroczystego około ofiary tańca religijnego, tańca, który może dał początek tańcowi „polskiemu“, jak go lud nazywa, zwanemu

¹⁾ Tak musiało być niegdyś i u Rzymian, skoro ich ołtarz to mensa (stół) na podwyższeniu, po łacinie altare.

¹⁾ Jak to dzisiaj jeszcze, gdy się dwaj o co „zakładają“ i ujmują się za ręce, ktoś trzeci „przecina“ swą ręką ich ręce na znak zawartej umowy



dzisiaj z francuzka „polonezem“). Gdy się to stało, starosta krajal chleb ofiarny (i ser) i obdzielał nim, począwszy od młodych, wszystkich obecnych, z wyjątkiem bezecných, jeżeliby się tacy wśród uczestników wesela znajdowali, gdyż tacy, niejako wyłączeni (ekskomunikowani) ze swego społeczeństwa, nie mogli brać udziału w ofiarach. Jeżeli kto z zaproszonych na uroczystość nie mógł przybyć z powodu choroby czy dla innej jakiej przyczyny, posyłano mu chleb ofiarny (i ser), zwany „ręko w a n y m“¹⁾, do domu. Stąd to poszedł także zwyczaj, zachowywany w niektórych okolicach do ostatnich czasów, zanoszenia „ręko w a n e g o“ chleba i sera do dworu i na plebanię. Po spożyciu kawałków ofiarnego chleba przez młodych i obecnych przystępowano do uczty weselnej, którą stanowiły także potrawy, mięsiva i napoje ze złożonych z powodu uroczystości na cześć bogów ofiar.

Po zaślubinach przyprowadzano młodą do domu młodego, gdzie następowała znowu uczta, uczta, bez której obejść się nie mogło, gdyż była ona publicznem, prawnem przyjęciem młodej jako małżonki młodego do nowej rodziny i ewentualnie także do nowego rodu. Kończyło uroczystość, jak u greków i rzymian, odprawienie młodych do łóżnicy małżeńskiej, zwane u nas powszechnie p o k ł a d z i n a m i, —

co także było jednym z aktów prawnych, na których opierała się ważność kupna żony i ważność zawartego prawnie małżeństwa. Inaczej nabyta była konkubina, a dzieci nie były dziećmi prawego łoża.

Zaślubiny odbywały się u naszych pogańskich praocjów nie w świątyniach, które bywały zwyczajnie niewielkimi kaplicami i do których wstęp dozwolony miał tylko kapłan, lecz po domach prywatnych lub pod gołem niebem, zwyczajnie u rodziców młodej. W uroczystości biorą udział w wielkiej liczbie przedewszystkiem obie interesowane rodziny lub oba interesowane rody (jeżeli młodzi należą do różnych rodów) dworno i zbrojno, pod swoimi z n a k a m i (sztandarami) wojennymi. Nad domem, w którym odbywała się uroczystość weselna, powiewał znak dotyczącego rodu. W naszych ludowych pieśniach weselnych zachowuje się żywo pamięć tego szczegółu, a w wielu okolicach zwyczaj zatykania chorągiewki na domu weselnym, a także na gospodzie, w której chwilowo bawiła drużyna weselna, tudzież występowanie drużyn weselnych z chorągiewkami przechował się u ludu naszego aż do ostatnich czasów¹⁾. Pod sztandarami występują drużyny weselne u słowian południowych jeszcze po dziś dzień.

D. N.

S. Matusiak.

¹⁾ Fedorowski M. Lud okolic Żarek, Siewierza i Pilicy, I, 64. Kolberg O. Kaliskie, I, 137.

¹⁾ Kolberg O. Lubelskie, I, 144. Kieleckie, I, 65, 82, 90, 106. W Galicyi. Lud, XIV, 159.



ZBIORY POLSKIE.

3)

Zbiory graficzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem.

Ze zbiorów graficznych, które u nas w pierwszej ćwierci przeszłego wieku egzystowały lub powstały poza puławskim i ministra Stan. Potockiego, o których poprzednio już była wzmianka, godne wyróżnienia są następujące: zbiór ordynatów Zamojskich, w którym sporo jest rzadkich map oraz cennych rycin, zarówno polskich jak i obcych. Do skata-

logowania tego zbioru, o ile wiem, przystąpiło obecnie. Nie od rzeczy będzie, gdy tu nadmienię, że senator-wojewoda Król Pol., ordynat Stanisław hr. Zamoyski, miał kilku nadwornych rytowników (Romanowskiego i podpisującego się kryptonimem „G“), przez których sztychowane plansze dołączone były do wychodzącego w Zamościu miesięcznika p. t. „Dziennik ekonomi-



czny zamoyski". Dalej bogaty zbiór Tow. Przejściół Nauk w Warszawie, który razem z biblioteką, trumienką srebrną ze szczątkami króla Stan. Leszczyńskiego i licznymi pamiątkami po r. 1831 przewieziony został do Petersburga. Następnie ogromny zbiór sztychów marszałka Bielińskiego, w znacznej części obcych (lubo w nim było sporo rzadkich i cennych „narodowej treści“) w pierwszej ćwierci w. XIX przeszedł do Olrycha Szanieckiego w Pińczowie. Poza tymi mniejsze lub większe zbiorki sztychów można było znaleźć w każdym niemal domu arystokratycznym ówczesnej stolicy: zbierał je wraz książkami generał Winc. Krasieński, znany artysta-malarz Henryk Zabiełto, w Lublinie amator-sztacharz Urmowski i w. in. W Krakowie i wogóle w Małopolsce znane były w tym okresie i zasługują na wzmiankę zbiory: Biblioteki Jagiellońskiej, ks. M. Sierakowskiego, autora dzieła o budownictwie, (były w nim cenne ryciny z pierwszej doby sztacharstwa); „najzupełniejszy zbiór sztychów“ Wyszkowskiego (zmarł w Krakowie w r. 1829), oraz znanego czechofila Adama Rościszewskiego, jakkolwiek liczny, ale składający się przeważnie z rycin nowszych. Powyższe trzy kolekcje ofiarowane zostały Bibl. Jagiell. i dotąd się w niej znajdują. Obok nich zbierał w tym czasie ryciny Kwiatkowski oraz znany archeolog i bibliofil, Ambroży Grabowski.

Jednocześnie osiadłszy w Wiedniu J. M. Ossoliński wraz z książkami gromadzi i sztychy; widocznie zbieranie tych ostatnich pobieżnie traktował, gdyż po zgonie zasłużonego męża znaleziono w tekach portretów sławnych rodaków nie więcej nad tysiąc. O wiele szczęśliwszym od niego w poszukiwaniach był ziemianin podolski, Gwalbert Pawlikowski z Medyki, który tak się zawinął, że już w przeciągu pierwszych lat kilku, zacząwszy od zbierania wiadomości o artystach polskich, zdobył ich utworów rylcem, piórkiem i ołówkiem wykonanych kilkanaście tysięcy, dzięki czemu założył mocny fundament kolekcji, która w przyszłości zastąpiła jako najznakomitsza ze wszystkich. Obok Pawlikowskiego gromadził również w Małopolsce grafikę naszą ziemianin tamtejszy, Aleksander Cetner, sam amator-rysownik. Jednocześnie z nimi na Rusi południowej kolekcjonowali sztychy i rysunki: Aleksander hr. Chodkiewicz i dziedzic Porycka, wiekopomny Czacki, który dublety map i sztychów składał w ofierze słynnej, a stworzonej przez siebie szkole krzemienieckiej. Wreszcie na Litwie w tej dobie obok zbioru, jaki z każdym dniem coraz więcej rósł w Wilnie wraz z tamtejszą

biblioteką, gromadził sztychy tak polskie jak i obce właściciel słynnej galerii dereczyńskiej, głośny nie tylko w kraju ze swych przygód i oryginalnego życia Franciszek ks. Sapieha. I znajdował się jeszcze w czasach owych piękny zbiór graficzny w murach jezuickiej akademii w Połocku, był również w tekach biblioteki Chreptowiczów w Szczorsach, a przytem mniejsze lub większe kolekcje, jak to sam i niejednokrotnie z licznych szczątków stwierdzić mogłem, znajdowały się wówczas w bibliotekach szkolnych, klasztornych, tudzież w dworach i pałacach litewskich, rozpisywać się jednak o nich tu dłużej nie pozwala brak danych.

Po pamiętnej nocy 29 listopada zerwała się burza, burza straszna, wojenna, która porwała nam i zniosła najdroższe kraju pamiątki. Orkan szalony, nie omijając stolic, zmiotł wszystko nawet w najodleglejszych zakątkach. Porwane przezeń to wszystko, co przez ciąg długich wieków kultura polska z siebie wyłoniła, przerzucone zostało z siłą iście demoniczną na wschód i daleką północ. Nie tylko Wilno i Warszawa ogolone zostały ze zbiorów bibliotek, ale jednocześnie znikły one z wielu klasztorów, dworów i pałaców.

Samo się przez się rozumie, że niefortunny los bibliotek wszędzie niemal spotkał też nieodłączne od nich teki ze zbiorami rycin.

Gdyby się anglik lub praktyczny niemiec w okolicznościach podobnych znalazł, najprawdopodobniej zacząłby od łatania dziur tylko materialnych, odkładając niewdzięczną pracę do szczęśliwszych czasów, do lepszych koniunktur. Ale „u nas inaczej“ — polak z okolicznościami się nigdy nie liczy, do pracy danaidowej od wieku zresztą przywykł, a wreszcie natura już jego taka, że na długo rąk nie opuszcza i nie zwykł rozpaczać. Ci, co tej epoki własną pamięcią sięgali, opowiadali mi, że gdy lekkoduchy w szale zabaw nieustannych smutek rozpraszałi, ludzie poważni, ludzie, którym dobro publiczne leżało na sercu, szukali pociechy w gromadzeniu polskich zabytków sztuki i kultury, chroniąc je od ostatecznej zagłady. A zachód służenia w ten sposób krajowi przy dobrej chęci i niewielkich nawet zasobach był łatwy w onczas niezmiernie, niezliczona bowiem ilość rzeczy złupionych podczas wojny, przeszła do rąk pejsatych, wszelką starzyzną kupujących handlarzy, od których można było rzeczy pierwszorzędnej nieraz wartości za bezcen nabywać. W takich to warunkach na miejsce wywiezionych bibliotek (uniwersyteckiej i Tow. Przyj. Nauk), o których piękny wiersz Brodzińskiego mieli wszyscy na ustach, zaczęły się na



nowo tworzyć liczne zbiory prywatne jak: szambelana Kajetana Kwiatkowskiego, autora „Dziejów panowania Władysława IV“¹⁾, Sobieszczańskiego, Łuszczewskich, Bolesł. Podczaszyńskiego, szambelana Leona Dembowskiego, bar. Edw. Rastawieckiego, Aleksandra Przeździeckiego, Kazimierza Strączyńskiego w Piotrkowie, Prota Lelewela w Woli Cygowskiej i w zakresie grafiki bodaj że ze wszystkich najbogatszy zacnego mecenasa i serdecznego opiekuna społecznej młodzieży z pod znaku Appellesa, Tomasza Zielińskiego w Kielcach. Ale wszystko to, co w epoce tej działała Warszawa z całą Kongresówką, niknie wobec poświęceń i niewypowiedzianych wysiłków rodaków na emigracji. Po rozbiciu nawy ojczystej tułacze bezdomni, gdy ich Mars srodze zawiódł, w to myśl całą i usilne starania kładą, aby pamięć dawnej chwały w ostoi bezpiecznej dla dalszych pokoleń przechować. I wnet w murach gościnnej Lutecyi powstaje publiczna biblioteka polska z działem graficznym, a jednocześnie tworzą się prywatne zbiory Adama, Izabeli i Władysława ks. Czartoryskich²⁾, Leonarda Chodźki, a obok wielu

¹⁾ Pan szambelan posiadał bogaty zbiór rękopisów, książek, map i rycin dotyczących Polski. (Od niego to Tytus hr. Działyński nabył za 2 tys. dukatów słynny rodowód Szydłowieckich). K. um. w Warszawie, mając wieku lat 82, w r. 1852.

²⁾ Kolekcja rycin ks. Izabeli szczyliła się obok cudzoziemskich wyczerpującym niemal zbiorem Falka i wielu polskich sztycharzy. Teki zaś w bibliotece ks. Władysława zawierały w r. 1850 z górą 4 tys. najrzadszych rycin polskich, między którymi sporo było unikatów.

innych przedewszystkiem godzien wyróżnienia kolosalny zbiór graficzny Adolfa Cichowskiego, redaktora w r. 1831 najwięcej ze wszystkich czasopism warszawskich wpływowego „Kuryera Polskiego“ i zarazem prezesa w dobie rewolucyjnej Komisji budowli publicznych¹⁾.

Pracą wspólną synów Marsa stworzone te i t. p. instytucje dosadnie świadczą o mocno charakteryzującym duszę polską rysie, na który żaden z naszych psychologów uwagi dotąd nie zwrócił lub źle go określił. Rysem, o którym tu mowa, jest wrodzona każdemu polakowi uniwersalność, wypływająca z lotności umysłu, ciekawości i zręczności fizycznej. A jakkolwiek wszechstronność ową wielu mylnie zwie dyletantyzmem, atoli o przykłady nie trudno, że polak, gdy go bieda zwłaszcza zmusi, mając klucz, z łatwością do gruntu dochodzi.

C. D. N.

M. Federowski.

¹⁾ Cichocki ur. w Warszawie w chwili ostatniego drgnienia upadającej Polski (1794). W 16 roku życia zaciągnął się do szeregów Ks. Warsz., a odbywszy kampanie w r. 1812, 1813 i 1814, powrócił ozdobiony krzyżem legii honorowej. W r. 1821 wspólnie z Łukasimskim założył „Towarz. Patriotyczne“, za co wtrącony do więzienia 8 lat w niem przesiedział. Po rewolucyi, z Drezna, mając już niemało tek w niem zdobytych, udał się w r. 1835 do Paryża, gdzie dzięki nieustrudzonej pracowitości, założył muzeum pamiątek polskich, jakiem niejednąby się pochlubić mogła stolica. Dział graficzny zawierał z okładem 30 tys. rycin polskich, map, rysunków, między którymi wiele było prac takich artystów, którzy miłośnikom polskim zaledwo z imienia są znani.



SZLAKIEM DO KAMIENCA. ¹⁾

Wyjeżdżamy do Kamieńca jako turyści, aby bliżej się poznać z okolicą, która jako położona niedaleko kresów, posiada wiele pamiątek, a krajobrazem przypomina najpiękniejszej miejscowości Szwajcaryi, że jednak leży w kraju, nikt tam nie zagląda i tem samem nic o niej nie wie. — Antiquo moro zabieramy kulinarne zapasy, by mózdz, nie oglądając się na nocleg,

tam gdzie się spodoba rozłożyć nasz taborek, mając tem samem całą swobodę w zwiedzaniu okolicy. Mało falistą drogą udajemy się do Osłamowa; łany pszenicy pozlacają niwy i falują gęstym kłosem, włościanie zajęci sprzętem żyta jak mrówki snują się po polach — dojeżdżamy niebawem do znakomitych sadów generała Szmita, obejmujących z górą sto morgów;



najprzedniejsze gatunki zimowych owoców, umiejętnie hodowane, przynoszą wielkie zyski właścicielowi, który swymi produktami zasila Moskwę i Petersburg; dochodność tych sadów liczy się na dziesiątki tysięcy. Zwiedziwszy choć pobieżnie ten olbrzymi ogród — dążymy ku Ostąmowowi. Dziś wieś to dość ludna, dawniej wedle miejscowego podania misteczko nazwane „Zasławie“, może forteczka lub prędzej fortalicya drewniana, położona na kresach Rzeczypospolitej. Jest to wysokie płaskowzgórze, gdzie biorą początek dopływy Dniestru i Bohu. Tem samem płaskowzgórzem wijącą się drogą, śród pól, pokrytych różnobarwnem zbożem, oddychając pełną piersią tem powietrzem przesyconem aromatem ziół i zbóż, dojeżdżamy do Kalusika leżącego u źródła rzeczki tegoż imienia i Bystrej, obu wpadających do Dniestru. Wedle podań, u północno-wschodniego krańca wsi istniało niegdyś bogate miasto; widoczne do dziś ślady wywyższeń, wyorywane stare monety, części oręży żelaznych, cegły ogromnych rozmiarów i rozmaite naczynia gliniane każą przypuszczać, że znajdował się tu obóz rzymski a może i miasto z czasów Trajana. Na przeciwległej zaś stronie znajdują się głębokie wklęsłości, wejścia do dawnych lochów wedle podania pełnych złota i różnego dobra, leżące pod dawnym zamkiem, — to o wiele późniejsza polska forteca. Od najdawniejszych czasów, Kalusik uważany był za ważny punkt strategiczny z powodu swego wysokiego położenia. O Kalusiku wzmianki posiadamy dopiero w XVI wieku; należało do starostwa barskiego, zatem i zamek musiał czasów Bony sięgać, należał później do Przewłockich, Gumeckich, Orłowskich, Trzecieckich, obecnie kolokacya kilkunastu właścicieli. Przysiółek Bystra darowany w połowie XVII wieku Sofii Tyszkiewiczowej, później klasztorowi franciszkanów w Wońkowcach, po kasacyi klasztorów przeszedł na własność rządu. Na wyjeźdźnym z Kalusika zatrzymuje nas wejście do cmentarza, gdzie nad mурowaną bramą malowany alfresco Sąd Ostateczny wydaje nam się dziełem czasów bardzo dawnych; a bądź co bądź robota to była dobra, jeżeli po tylu latach, wystawiona na zmianę atmosferyczną, zupełnie dobrze się przedstawia i wszystkie figury są wyraźne. Niestety z powodu nieprzygotowanego aparatu nie mogliśmy zdjąć fotografii.

Stare to bardzo i dawne było siedlisko ludzkie, bogate i obronne, dziś cicha wioska podolska, nie mająca żadnego znaczenia; tylko wyobraźnią można sobie odtworzyć jak tu ongi było gwarno i rojno. Uniesieni wspomnienia-

mi prawie niepostrzeżenie dojeżdżamy nad ogromny jar Uszycki, ciągnący się wzdłuż rzeki Bystrej i rzeki Uszycy; na kamienistej i okropnej drodze zmuszeni jesteśmy opuścić powóz i pieszo spuszczać się do Karaczejowic. Dawniej zwało się to Hryczkowce, nadane w 1431 roku przez Jagiełłę Wawrzyńcowi Ciołkowi wraz z wsiami Szczepłyńce, Jaromiewce i Noskowce. W 1504 r. przechodzą od Ciołków nadaniem króla Aleksandra do Semka i Oleksy Karaszewskich i od tej pory nazywają się Karaczejowce. Czas krótki władali tutaj Herburtowie z Fulsztyna, później z powrotem odbiera je Łazarz Karaszewski, w 1626 r. nabywa je Strzyżewski, w XIX wieku przechodzą do Darowskich, obecnie po kądzieli do Obruskich. Środkiem wsi płynie już jako spora rzeka Kalusik, który przejeżdżamy wbród, bo o jakimkolwiek moście nigdy tu widocznie nikomu się nie śniło, tylko dla przechodniów leży przerzucona kładka na chwiejących się deskach. O ile raptownie spuszczałyśmy się, o tyle teraz mozolnie wnosimy się pod b. stromą górę jakąś niby to drogą, bo trudno dać nazwę drogi bryłom kamieni tamujących przejazd; tylko dzięki mocnym resorom dojeżdżamy do pół góry bez szwanku; stąd już stromość łagodniejsza, śliczny las dębowy okala drogę, więc zwracamy w las, i tam pod cieniem rozłożystych dębów spożywamy śniadanie; apetyt wyborny, humory wyśmienite, gwarno i wesoło — gniadosze zaś z wielkim smakiem zajądają przyniesione od pobliskiego leśnika siano.

Odpocząwszy godzinę, puszczaemy się dalej w drogę, jeszcze dobry kawał pod górę, mając ciągle po prawej stronie las dębowy; wjeżdżamy nareszcie na płaszczyznę i raźnie podążamy bardzo krętą drogą między łanami żyta i pszenicy ku Kapuścianom. Kapuściany, należały dawniej do książąt Jazłowieckich, w połowie XVII wieku przeszły do Dąbrowskich, później do Mniszców, od których je nabył Ksawery Stadnicki, ostatnimi czasy należały do Buzdika, sprzedane Zawojce, wkońcu ze znacznym zyskiem rozparcelowane między włościan. W lewo od Kapuścian, pięknie wysadzaną przez dawnych właścicieli aleją, dojeżdżamy do góry „Belmont“, gdzie się rozłacza przed nami jeden z najpiękniejszych widoków: — jak okiem sięgnąć w dolinie rozrzucone wioski niby ptasie gniazda, z prawej strony stroma przepaść, u dołu szumiąca Uszyca wiję się krętą wstęgą między ledwie dojrzanymi ogrodami i sadybami włościańskimi; ogromne skały sterczą ze wszystkich stron, mchem niby siwizną wieków obrosłe; nieme świadki tylu przewrotów geologicznych



i wstrząsnień zdają się ledwie trzymać, a wieki przetrwały i przetrwają, póki ich ręka człowieka, użytkując na żwir dla nowo budujących się dróg, z miejsca nie ruszy. U samych stóp góry, niby u kolan matczy, przygarnęło się miasteczko Mińkowce, zatopione w ogrodach, pełne drzew i zieleni, istny rajski zakątek; oczu trudno od tego oderwać. Tylko brak komunikacji i jakichkolwiek wygód staje na przeszkodzie do poznania naszego tak pięknego Podola. Dobrze na swoje imię zasłużył Belmont, bo piękniejszej góry i krajobrazu trudno znaleźć. Chcąc jak najdłużej nasycić się tym iście czarującym widokiem, schodzimy pieszo, zdjawszy w pierw widok okolicznych dolin, i wyrazy podziwu cisną nam się mimowoli na usta na widok panoramy, zmieniającej się na każdym zakręcie drogi, która z powodu wysokości i stromości wije się ciągle w zakosy. Trwa to dobre pół godziny, jeżeli nie więcej, nareszcie znajdujemy się w dolinie, gdzie rzeka z szumem toczy się koło drogi. Pierwszy zapach, który odczuwamy na wjeździe, jest to silna woń anyżu, przypominająca austriackie gorzelnie; objaśniono nas, że to fabryka olejków anyżowych, które tu wyrabiają i wysyłają zagranicę. Miasteczko ubogie, mało handlowe choć dość szeroko i przestronnie rozłożone; bywają tu dwutygodniowe jarmarki końskie dość ożywione, kościółek, który o mało że nie został zamknięty z powodu szpary w ścianie; przyprawiło to o taki strach miejscowego plebana, księdza Pawłowskiego, będącego 50 lat tutaj proboszczem, że staruszek po przybyciu komisji śledczej, nie będąc pewny losu ukochanego swego kościoła, rozchorował się i życiem strach ten przypłacił. Dzięki jednak staraniom hrabiego Scibora Marchockiego poprawiono pęknięcia i dziś znowu kościół służy parafianom, którzy wszystkie roboty przy naprawie murów bezpłatnie wykonali. Mińkowce były dawniej króleszczyzną, nadawane Muranowskim, później Stanisławskim; jeden z nich wybudował tu twierdzę czyli zamczysko, wyrobiwszy sobie w 1637 roku przywilej na miasteczko z prawem magdeburskim; później przeszły do wojewody Tarły a od niego do Staszyńskich, którzy w 1786 roku sprzedali Wojciechowi Scibor Marchockiemu, po nim zaś dziedziczył je syn jego Ignacy,

Mapka wycieczki

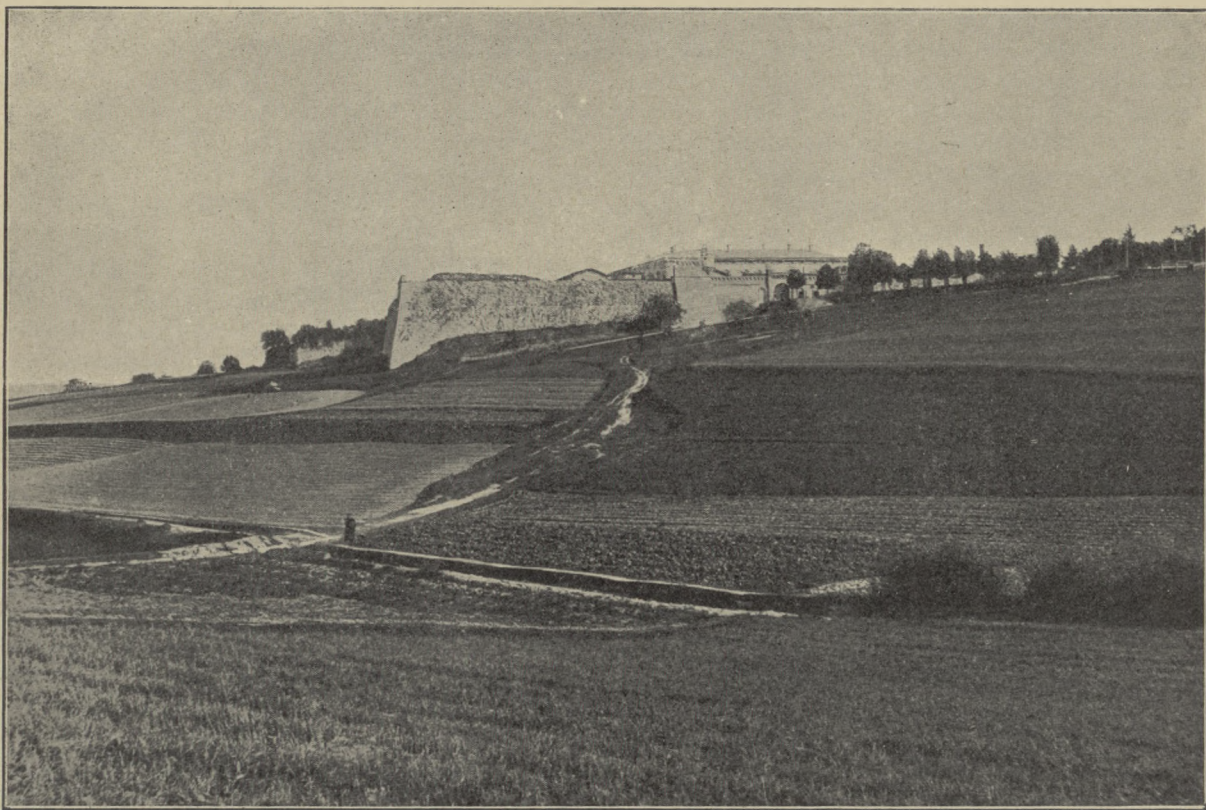
„Szlakiem do Kamieńca”



słynny dziwak, o którym krążą różne podania i legendy. Nosił długą brodę, ubierał się w starożytne peplum, zaprowadził u siebie święto Cerery i różne obrządki pogańskie, mianując się ich arcykapłanem; w 1795 r. nie uznając rozbioru kraju, ogłosił swe majątki za państwo niezawisłe i opasał je słupami, na których widniał napis „granica państwa mińkowieckiego od cesarstwa rosyjskiego“, wydał nowe prawa dla swego państwa i wymagał akuratanego ich wykonania; był przy tem bardzo ludzki i dobroczynny, wchodził w potrzeby swoich poddanych, uwolnił ich od wszelkiej pańszczyzny i starał się wzniecić między nimi oświatę. Wybudował fabrykę sukna, papiernię, drukarnię, w której nowe swe prawa drukować kazał, oraz wielki szpital, w którym bezpłatnie leczono chorych. Nie mało też ludu garnęło się pod jego władzę, co wywołało skargi sąsiadów, których poddani uchodzili do Minkowic gromadnie. Nie uznając u siebie praw rządu rosyjskiego, nie mało miał z nim zatargów, a urzędników nie dopuszczał do siebie lub straszył różnymi sposobami; opowiadają np., że gdy doń przyjechał isprawnik w sprawie słupów granicznych, przyjął go gościnnie a po obiedzie oprowadzając po zamku pokazywał zbrojownię; w czasie rozmowy, zdją-



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



WIDOK OGÓLNY ZAMKU W PILICY W POW. OLKUSKIM.

fol. Badzian.

wszy ze ściany nabite pistolety, zmierzył do niego, czem tak gościa przestraszył, iż ten niedługo myśląc przez otwarte okno umknął; nie było to wysoko, ale zato biedny isprawnik zażył kąpeli, bo pod oknem stała kadź z wodą, do której wpadł w pośpiechu; po takim przyjęciu podał skargę do gubernatora, który osobiście do Mińkowiec podążywszy, zastał bramy pozamykane, i musiał wrócić, nie zobaczywszy Marchockiego. Ostatnie wybryki tego rodzaju wywołały srogie represye; cesarz Mikołaj kazał Marchockiego uwięzić, słupy powyrzucać i majątek skofiskować. Marchocki umarł w 1827 r. — później część Mińkowszczyzny została zwrócona Stadnickim, jego sukcesorom po kądzieli. Do dziś egzystują w miasteczku budowle Marchockiego, obecnie domy żydowskie, i do dziś legenda o dziwacznym grafie tuła się w pamięci ludu. W Mińkowcach musieliśmy nocować w byłej drukarni hrabiego Scibora. Nazajutrz ze świętem ruszamy ku Kurzelowej, znowu musimy

wspinać się po stromej górze co najmniej godzinę; im wyżej tem powietrze świeższe, bardziej ożywcze, dobijamy wreszcie do płaszczyny, z której rozciąga się czarujący widok, żegnamy raz jeszcze w oddali ukryte Mińkowiec, i rażno pomykamy naprzód — wszędzie bujne łąny zboża, wszędzie praca człowieka, który zresztą zbiera obfity plon. Wkrótce dojeżdżamy ponad ogromne jary, w głębi których widać białe punkciki — to rozległe wioski, leżące u podnóża. Stajemy wreszcie nad prawie prostopadłą drogą do wsi Kurzelowej; trzeba tu całej umiejętności woźnicy, aby ująć wypadkowi, spuszczać się po tej wartko-skalistej, wer-tepowatej drodze — po prawej stronie bezden-na przepaść, po lewej skały sterczące jedna nad drugą; w niektórych miejscach jest tak wązko, że cztery konie w poręcz ledwie przesunąć się mogą, nigdzie baryery ani słupka ochronnego, wszystko zdane na Opatrzność.

C. D. N.

Gabryel Prószyński.

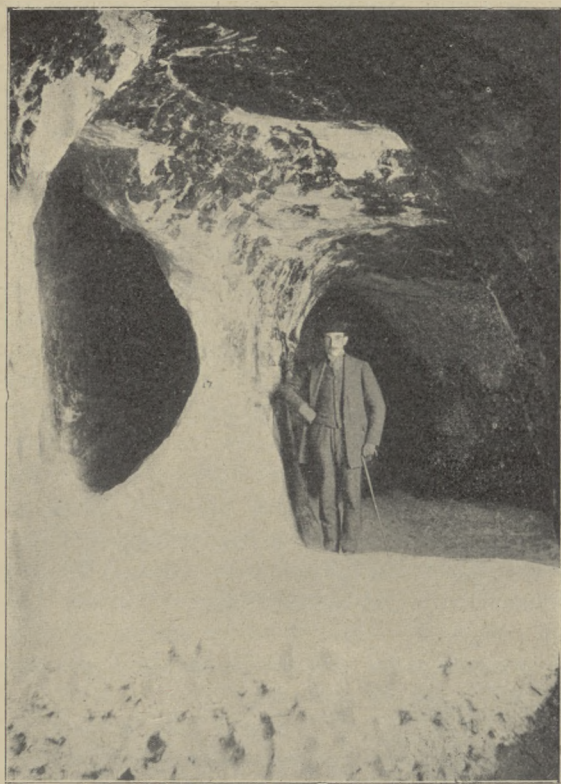




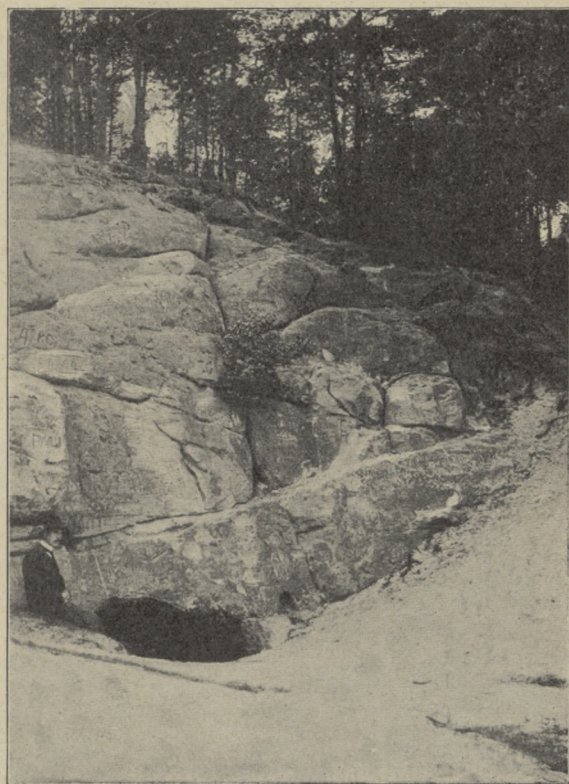
Z badań fizyograficznych nad Pilicą.²⁾

Ostatnia sprawa zakończyła się tem, że król nakazał (w 1755 roku) mieszczanom uległość dla sług bożych. Dopiero po zniesieniu klasztoru w 1860 r. zaczął on być użyteczny dla społeczeństwa, gdy założono w jego murach ochronę dla dzieci, obecnie jednak mieści się w nim browar. Pałac opata rozpadł się w gruzy, a z przepychu i zbytku, jaki w nim gościł, pozostały jedynie porośnięte mchami i chwastami mury. Kościół, piękny zabytek romański, z

wewnętrznych rogatych wrogów: wielka ilość jeleni hodowana w lasach księstwa niszczy zagajniki, a nawet i pola zasiane. To też można oglądać oparkanie niwy żyta lub zagajniki, środek bynajmniej nie radykalny, bo rogacze potrafią przewracać parkany i niszczyć zasiewy. Zarząd łowiecki wyznacza wprawdzie gminom pewne niewielkie zasiłki na utrzymanie stróży, którzyby nie pozwalali jeleniom broić na cudzym gruncie, ale zasiłki te nie wystar-



BIAŁA GÓRA NAD PILICĄ.
PIECZARA W PIASKOWCU CENOMAŃSKIM.



fol. St. Lencewicz.

NAGORZYCE. WEJSCIE DO PIECZAR.

zachował się do dziś prawie w tym stanie, w jakim go zbudowano już w roku 1232, wieża nad bramą pochodzi z wieku XVII, baszty—zabytki architektury wojennej — przechowały się dobrze w ciągu czterech wieków.

Rzadko gdzie w kraju mamy tyle lasów i takie lasy jak w okolicach Sulejowa, Tomaszowa, Spały. Stanowią one własność prywatną dworu cesarskiego, a przeto utrzymywane są starannie, nad czem czuwa cały sztab podleśnych, gajowych i wreszcie kozaków. Prawidłowo i starannie prowadzone leśnictwo ma tu jednak

czają i ludność miejscowa nienawidzi jeleni i dzików. Jeleni z lasów księstwa nie można uważać za zwierzęta dzikie: cała organizacja łowiecka czuwa nad ich dobrobytem. Tu i owdzie wykopano im studzienki, ażeby nie miały trudności z zaspakajaniem pragnienia, zwożą im marchew na pokarm, budują schroniska, zabijają każdego psa, jaki śmie się pokazać w lesie, jednym słowem dogadzają im poto, ażeby zabić na łowach. Jelenie, dumne z takiego uprzywilejowanego stanowiska, nie obawiają się zbyt ludzi, dopuszczają ich na bliską odległość,



a znajomym „jegrom“ pozwalają się nawet głośkać.

Przed łowami, jakie odbywają się co parę lat, naprawiane są wszystkie drogi, wycinane specjalne pasy w lasach, którymi będą jeździć konni myśliwi, bieli się kamienie, ułożone wzdłuż dróg co kilkanaście kroków, jednym słowem polowanie ułatwione jest do ostatnich granic i sprowadza się ostatecznie do zabijania pędzonych przez naganiaczy zwierząt.

Główną roślinność lasów stanowią tu sosny; podszycie jest bardzo bujne, o dominującej ilości jagód, w większości wypadków zbieranych przez ptactwo leśne, bo ludziom nie wolno. Pod Zarzęcinem, w lesie ciągnącym się po obydwu stronach Pilicy, podszycie stanowi orlica (*Pteris aquilina*), dochodzącą wielkością swą wzrostu człowieka.

Poniżej Smardzewic Pilica przerywa się przez skały piaskowcowe. Są to piaskowce kredowe piętra cenomańskiego, kruche, łatwo wietrzejące na biały, bardzo dobry piasek. W okolicy pełno tego piasku, pozostałego przez zwietrzenie skał występujących płytko pod glebą, a na stokach doliny bezpośrednio na powierzchni ziemi.

Pomiędzy Nagórzycami, leżącymi po lewej stronie Pilicy, a Białą górą, wznoszącą się po prawej, rzeka przecina te piaskowce, niszcząc je z łatwością. Dawniej prąd skierowany był na lewy brzeg, obecnie w tym miejscu erozyja głównie działa na brzeg prawy, prąd uderza prostopadle w kamienny brzeg, odbija się od niego pod kątem ostrym i nieco dalej znów kieruje się na prawo. Niezmiernie charakterysty-

czne piaskowce cenomańskie posiadają swoją osobliwość: pieczary jedne z najpiękniejszych w kraju. Wiedzie do nich niskie niepozorne wejście, ale dalej wązki korytarz rozszerza się i rozgałęzia a wysokość dochodzi do kilku metrów. Długość pieczar wynosi 180 kroków, przedzielają je i podpierają liczne kolumny, niekiedy cienkie ścianki z małymi otworami w kształcie okienek, co nadaje im wygląd niezwykły. Pięknością swoją nie ustępują one grotom ojcowskim, bo choć są nieco niższe, a może i mniejsze, ale liczne kolumny nadają im wygląd odmienny od grot ojcowskich, zbliżając je poniekąd do słynnej grotty w Adelsbergu. Mamy więc w kraju piękne grotty, ale przypuszczam, że cały urok pryśnie, skoro wytłumaczę się, dlaczego zamiast stalagmity i stalaktyty pisałem kolumny. Otóż pieczary w Nagórzycach są dziełem rąk ludzkich. Miękki piaskowiec z łatwością daje się skrobać na piasek, to też eksploatowano go tu w ten sposób, pozostawiając ogromne pieczary. Ułatwiało to nawet pracę, bo jeżeli wóz wjechał do pieczar, to można było bezpośrednio ze stropu pieczary sypać piasek na wóz. Obecnie jednak zabroniono tego sposobu eksploatacji, wobec czego czerpią go z odkrywki i dlatego miałem możliwość obejrzeć i sfotografować wychodnię margli turońskich ponad piaskowcami cenomanu. W Nagórzycach są dwie wielkie pieczary, do których prowadzą również dwa wejścia; po drugiej stronie Pilicy znajduje się mniejsza pieczara nad samym brzegiem rzeki, z okienkiem wychodzącym na Pilicę. Tu wóz niema dostępu i dlatego wydobyty piasek sypano w łódzie, którymi odwożono go na miejsce przeznaczenia.

Brzegi Pilicy obok Tomaszowa, ściśle mówiąc w Brzóstówce, są niezmiernie ważne pod względem geologicznym; skamieniałości zachowane w tamtejszych wapieniach mają pierwszorzędne znaczenie teoretyczne, rzucają one bowiem światło na rozkład mórz i lądów i stosunki klimatyczne, jakie panowały w systemie jurajskim. Przypuszczano, że morze borealne, zajmujące terytorium, na którym obecnie rozciąga się Rosja, było oddzielone od morza środkowo-europejskiego, że tam był klimat zimny,



BRZÓSTÓWKA. a) GLEBA; b) GLINA, PRODUKT ZWIETRZENIA WAP.; c) WARSTWY WIRGATOWE.

fol. St. Lenczewic.



a tuumiarkowany. Przypuszczenie to popierano dowodami z paleontologii, gdyż w rosyjskich pokładach jurajskich znajdowano inną faunę niż w środkowo-europejskich. Kiedy jednak Aleksander Michalski znalazł w kamieniołomach Brzóstówki amonita *Perisphinctes virgatus*, typowego dla Rosji, hipoteza odosobnienia morza tytońskiego poczęła się chwiać, a po znalezieniu poziomów virgatowych w Anglii ostatecznie upadła. Ciekawa jest również ta okoliczność, że fauna virgatowa niema ani jednego gatunku wspólnego z niżej leżącymi warstwami, nie mogła się więc ona wytworzyć na miejscu, bo w tym wypadku powinniśmy mieć szereg stopniowych przejść, lecz przybyła do nas bądź z basenu rosyjskiego, bądź z angielskiego.

Położony o kilometr na półn.-z. od Brzóstówki Tomaszów jest jak gdyby forpocztą Łodzi, podobnie jak ona wzrasta i rozwija się w tym samym kierunku. W roku 1822 w Tomaszowie było 4 domy i 30 mieszkańców, w następnym roku Antoni hr. Ostrowski sprowadził tu Niemców, założył tkalnię, a na 100 warsztatach pracowali tkacze. Ósmego września 1830 roku Tomaszów staje się miastem, wzrasta szybko, szczególnie po przeprowadzeniu obok linii kolejowej, i liczbą nowej ludności przeraża cyfrę 15,000 (1885 r.). Obecnie jest względnie sporem miastem, posiada szkołę handlową, kościoły trzech wyznań chrześcijańskich, koszar, wiele fabryk i cuchnący zbiornik wody w środku miasta. Spływają do niego ścieki z fabryk i odpływają do Wolborki, dzięki czemu ani w rzece, ani na jej brzegach niema roślinności. Ażeby skończyć już z tem polskiem miastem wspomnę, że na ulicy niezawsze można się po polsku rozmówić, a szyldy też często przemawiają językiem państwa bojaźni bożej i dobrych obyczajów.

Z Tomaszowa udaliśmy się do Piekła, tak się bowiem nazywa wieś położona na lewym brzegu Pilicy, na wschód od Tomaszowa. Był tam niegdyś rządowy piec wapienny, jeden z najpierwszych w kraju, ale obecnie nawet śladów z niego nie pozostało i tylko zarzucone, prawie zupełnie zarosłe kamieniołomy świadczą, że wydobywano tam niegdyś wapień. W zarzuconym kamieniołomie można zobaczyć cienkopłytowe żółte i szarawe margle, zarówno jak wapienie z ziarnami oolitu. Szczególny ten mar-



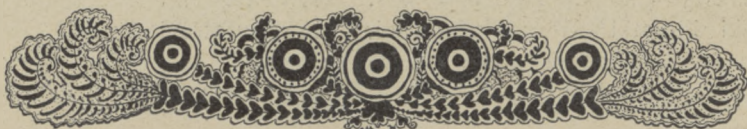
fol. St. Lencewicz.

NAGÓRZYCE, a) WYCHODNIA MARGLI TURON.; b) PIASKOWIEC CENOMAŃSKI; c) PIASEK, PRODUKT WIETRZENIA.

giel składa się prawie wyłącznie ze skorup mięczaków *Exogyra zircula* i *Exogyra bruntrutana*. O parę kilometrów dalej, na prawym brzegu doliny Pilicy, pod wsią Ciebłowicami, istniał drugi piec rządowy, ślady obecności którego przez chwilę ucieszyły mnie bardzo. Mianowicie zauważyłem sypane pagórki szczególnego kształtu, co mnie naprowadziło na domysł, że jestem na gruncie sypanym ręką człowieka dawno ubiegłej epoki archeologicznej; ale radość trwała bardzo krótko, gdyż pagórki składały się z gruzu i odpadków, pozostałych po kamieniołomach i piecach, jakie tu ongi były. Przedwczesna radość powstała dzięki temu, że krążyłem pod Ciebłowicami w poszukiwaniu człowieka przedhistorycznego, doszły mnie bowiem wieści o jego śladach, tu spotykanych. W samej rzeczy na ślad człowieka i ja trafiłem, ale tylko na ślad, bo rzeczowe dane wywieziono już dawniej.

C. D. N.

Stanisław Lencewicz.





Witebsk i Witebszczyzna. ³⁾

Zamykając charakterystykę naszego grodu dotyczącą ostatniego półwiecza, kamieniem ciężkim ległby na sumieniu kronikarza grzech zatajenia faktu, że nawet w najcięższych chwilach egzystencji, Witebsk, mając w swych murach mniejszą lub większą liczbę „mężów sprawiedliwych“, nic nie miał wspólnego z biblijną Sodomą. Ze względów łatwo zrozumiałych pomijając żyjących, wspomnę tylko, że właśnie jedynym z takich był zmarły przed rokiem światły archeolog i nieodżałowany członek Tow. Krajozn. ś. p. Wacław Fedorowicz. Cichy ten pracownik, przede wszystkim wzięwszy sobie za zadanie upadających podnosić, gdziekolwiek się obrócił wlewał w mdłe serca gorącą wiarę, sam stojąc zawsze czujnie a krzepko, jak przystało na strażnika tej kresowej placówki. Uczynność jego i uprzejmość nie miały granic. Drogą mu była przeszłość Witebska, a znał ją tak, że nawet żaden dziejopis nic mu nie mógł zarzucić. W domu jego nad samą Dźwiną istne muzeum; człowiek, mając przed oczami tysiące ziemi tej i sławnego jej grodu pamiątek, przenosił się w świat lepszy, rycerski, w przeszłość górną a chmurną. Na poszukiwanie tych zabytków nigdy nie żałował czasu ani środków. A jaką ogarniał je miłością, mogłyby zaświadczyć przechowane w zbiorze moim listy.

Cześć zacnemu strażnikowi ojczystego dobra!

Pożegnawszy przeszłość bohaterską kresowego grodu, z kolei rzeczy wypada nam jeszcze i dla doby obecnej słów kilka przeznaczyć.

Gród nasz, noszący szumną nazwę miasta gubernialnego, więcej niż do połowy ubiegłego wieku pozostawał osadą małą co więcej liczącą nad 20 tys. mieszkańców. Dopiero od r. 1866, w którym rozpoczął się ruch na drodze żelaznej dynebursko-witebskiej, a w roku następnym na witebsko-orłowskiej, gród Olgierda zaczął szybko wzrastać, zaludniać się i urządzić na sposób nowożytny. Obecnie Witebsk liczy 8 placów, 150 ulic i zaułków, domów murowanych przeszło 50, drewnianych 3,700, a mieszkańców około 75 tys., w czem bez mała połowa jest żydów. W mieście znajduje się gimnazjum męskie, dwa żeńskie, a obok tego szkół i szkótek niższych kilka. Założony w r. 1881 bank ziemski litewski obraca milionami, z każdym rokiem powstają coraz nowe przedsiębiorstwa przemysłowe (olejarnie, mydlarnie,

fabryki świec, szlifiernie. kaflarnie etc.), a rynek zbytu rozszerza się i urozmaica. W ogólności miasto czyni wrażenie rozwoju i energii, a różne towarzystwa jak: rolnicze, lekarskie, straży ogniowej, ochotniczej i in. ruch społeczny znacznie potęgują.

Z przeszłości świetnej za wyłączeniem strzelistych świątyń (w znacznej części na cerkwie zamienionych) do czasów naszych nic się prawie nie dochowało. Jadąc ku miastu od strony dworca dr. żel., widzi się już z daleka wyniosłe wieże dwóch soborów, z których starszy (b. kościół jezuicki) mieści kilka cennych malowideł przypisywanych Salwatorowi Rosa. Niżej nieco, na placu ratuszowym, stoi kościół katolicki św. Antoniego, świątynia obszerna, lecz bez wybitnego stylu. W niej nad ołtarzem widać cudowny obraz św. Antoniego z Padwy, szczególnie przez mieszkańców i lud całej Witebszczyzny czczony. Na odpust coroczny (13 czerwca) zwykle tysiące przybywa pobożnych z bliższych i dalszych okolic. Drugi kościół, parafialny św. Barbary, strzela w górę wysokimi wieżami, które widać za Dźwiną z szosy połockiej. Parafianie w mieście posługują się językiem polskim, wioskowi — białoruskim, choć jedni i drudzy, jak wszędzie na Rusi litewskiej do dziś dnia po polsku się modlą i spowiadają, słuchają kazań polskich i tylko polskie w domu i kościele pieśni nabożne śpiewają. Na ogół parafianie dość są zamożni, proletaryatu tak dobrze jak niema, a o moralności ich świadczą jak najlepiej bardzo tu rzadkie przykłady urodzin nieprawych.

Wysoką górę zamkową, niegdyś nad całym dominującą miastem, na której za mojej jeszcze pamięci rosły odwieczne lipy, skopano w roku 1865 i w miejscu tem postawiono gmach na sąd okręgowy. Wśród dziedzińca z góry tej, niejednokrotnie krwią dzielnych obrońców zraszaney, pozostał niewielki kopiec — jedyny już dziś świadek potęgi i chwały. Z pamiątek znacznie późniejszych lecz niemniej sercu polskiemu drogich został tu krzyż Tomasza Zana, o którym wdowa po nim, ś. p. Brygida ze Świętorzeckich, wspominała mi niegdyś, że go druh Adama wznosił, gdy szczęśliwie powrócił z wygnania. Pamiątka ta w chwili postawienia (r. 1850) znajdowała się poza miastem, w stronie rzeki Łuczosy i przez długi czas była celem wycieczek wymarłej generacji. Dziś — jak się dowiaduję z cennego listu pani



J. O. — „wskutek znacznego rozrośnięcia się miasta godło Zbawiciela znalazło się w strasznym opuszczeniu wśród domów najbiedniejszego żydowstwa...”

Tak smutnym faktem zamykając opis Olgierdowego grodu, zwracam się do serc, u których nad Dźwiną uczucie ojcyste jeszcze nie wygasło, nawołując do ogrodzenia drogiej pamiątki, a przedewszystkiem bez zwlekania do uwiecznienia jej aparatem, piórem lub ołówkiem.

*

Witebszczyzna! — owa przesławna połać białoruskiej ziemicy — potrzebuję pisać, jakie się w niej cuda a dziwy kryją, jakimi od Stwórcy udarowana przymioty. Nie tęga, nie po sandomiersku z wołyńska żyzna jej gleba, ale natomiast lasów i wszelakich wód nieprzemierzone bogactwo, a każdy las zwierzęcia i ptaka pełen, każda woda ryby. A reprezentuje ją godnie owa Dźwina Zachodnia, przez rzymian ongi Rubonem przezwana, rzeka klarowna a głęboka, na przedwieśniu groźna i gniewna, a majestatem swoim wśród lata jak bóstwo poważna.

Witebszczyzna! — z połocką a mohylewską siostrzaną ziemią, to podaniowy lasów matecznik, w którym skrzętny badacz to jeszcze znachodzi, co już oddawna wstrętą modernistycznej zgnilizny woń wyparowała ze świata.

Witebszczyzna — „twarda — jak głoszone w dawnej Polsce — niemowna i nieogładna” — a wždy to tarcza stalowa wielkiej a rycerskiej Rzeczypospolitej i baszta zarazem potężna najdalej na jej wschodni kraniec wysunięta. Nie dziwota tedy, że się w niej lęgły miasto fircyków o języku z trybunalska gładkim, jeże kolące, szorstkie a chropawe, mężowie-rysie o pazurach strasznych i ostrodziobe orlęta.

Witebszczyzna, obrazowo się wyrażając, to nie owo przesławne dawnej Rzeczypospolitej województwo, ale ziemia na tok, na klepisko

kopytami wojackich rumaków ubita, to wielkie cmentarzysko, ofiarą krwią Litwy i Polski całej zlane i zbielałymi kośćmi ich synów zasłane, to wreszcie olbrzymia i gruba potężnie księga, pełna dla narodu wspomnień i najdroższych pamiątek, z których te wszystkie, co się zakarbowowały w mej pamięci głębiej, postaram się ku zadowoleniu czytelników poniżej przytoczyć.

Pograniczna ta W. Ks. Moskiewskiemu kraina, do r. 1772 otoczona była od północy ziemią pskowską, od wschodu gubernią, dawniej ks. smoleńskim i województwem mścisławskim, od południa mińskim, a od zachodu połockiem. Witebszczyzna, odkąd jej dzieje sięgają, jak mała która ziemia doświadczała zmienności losów i spustoszeń straszliwych. Ongi, jak i ponieważ dziś jeszcze, na obszarze jej ścierały się najrozmaitsze cywilizacje i sprzeczne dążności polityczne, czy to wówczas, gdy władali nią witezie fińscy i normandzcy, czy też później, gdy panowali tu książęta ruscy i litewscy, polscy i szwedzcy królowie, biskupi i mistrze zakonów rycerskich, jak i carowie moskiewscy. Witebskie księstwo było zawsze ścisłymi stosunkami związane z pogranicznym, większym i potężniejszym ks. połockiem. W jednym z najdawniejszych dokumentów o wolnym handlu wydanym ryżanom w r. 1265, książę połocki Iziawław pisze: „Połock, Wit'besk (Witebsk) jedno jest... Na tem krzyż całując, chcę miłość mieć i spokój, jako było przy pierwszych książętach połockich...” Pierwszym księciem połockim był Rogwołod (Rogwołod) Wareg, prawdopodobnie z drużyny Ruryka albo jego krewny. Zostawił on córkę Rogniedę, która wyszła za Jaropetka, syna Świętosława w. ks. kijowskiego. Wkrótce jednak małżonka jej zabija brat rodzony — św. Włodzimierz i za nałożnicę sobie bierze uroczą Rogniedę. W r. 1101 powiła ona syna Iziawława, któremu św. Włodzimierz nadaje matczyzny udział — całą Połoccczynę.

C. D. N.

M. F.



Listy do Redakcyi.

Dopiero teraz wpadł mi do rąk № 6 „Ziemi“, w którym aurorecenzi o mej mapie wyraził się między innymi, że jest ona „zupełnie przestarzała, albowiem dziś już są znane wyniki ostatniego spisu ludności Galicyi“. Za pomocą niniejszego listu chciałbym się oczyścić z tego zarzutu, mającego wszelkie pozory słuszności, a jednak zupełnie niesprawiedliwionego. O ileby Sz. Pan uznał za stosowne umieścić w „Ziemi“ choćby w kilku słowach odpowiednie sprostowanie, byłoby to dla mnie oczywiście bardzo pożądane.

Otóż, we wstępie do mej mapy piszę: „...okoliczność, że ostateczne wyniki spisów ogłaszane bywają... po upływie całych 7 lat od chwili dokonania spisu,... uniemożliwia obecnie użytkowanie danych liczbowych z roku 1910“, które ukażą się zatem dopiero w 1917 roku. Wyniki spisu ostatecznego, o których referent pisze, są tylko prowizoryczne, nieraz bardzo od „ostatecznych“ różne i, moim zdaniem, układanie na ich podstawie mapy byłoby lekkomyślnością, skoro się wie, że za kilka lat dane te nie będą miały absolutnie żadnej wartości, nawet historycznej. Aby nie być gołosłownym, przytoczę dwa przykłady. Wyniki prowizoryczne poprzedniego spisu podały procent Polaków w okr. sąd. Rawa-Ruska na 37,8, zaś w okr. sąd. Gródek—43,3 (por.: „Die Summarischen Ergebnisse der Volkszählung 1900“ lub Czyńskiego: „Zarys liczebności i rozsiadania ludności polskiej i t. d.“). Tymczasem przy ostatecznym obliczeniu urzędowym okazało się, że Rawa-Ruska ma Polaków 28,2%, zaś Gródek 37,9%—a więc różnice olbrzymie. Wyników zgodnych w obu obliczeniach: prowizorycznym i ostatecznym, z dokładnością do 0,1% było mniej niż połowa (!) ogólnej liczby. Oczywiście, nie jesteśmy pewni, czy prowizoryczne wyniki i obecnie spisu nie ulegną później gruntownym zmianom.

Zdaje mi się, że dzięki temu, co powiedziałem wyżej, zarzut p. Wasilewskiego nie jest słuszny, zatem cel mego listu został osiągnięty.

Wincenty Choroszewski.

II.

Pan W. Choroszewski nie godzi się na mój zarzut, że praca jego jest już obecnie „zupełnie przestarzała“, i twierdzi, jakoby znane nam wyniki spisu ludności z dn. 31 grudnia r. 1910 nie posiadały prawie żadnej wartości. W kwestyi tej winieniem parę słów wyjaśnienia. Opracowanie danych każdego spisu ludności w Austrii odbywa się w trzech stadyach. Stadium pierwsze dostarcza rezultatów tymczasowych i jak najogólniejszych już w parę miesięcy po dokonaniu spisu. Drugie obejmuje zestawienia już bardziej szczegółowe (w tem dane co do wyznania i języka towarzyskiego), które, przejrane i sprawdzone w centralnej Komisji

statystycznej w Wiedniu, stają się podstawą wyników t. zw. sumarycznych, publikowanych w „Oesterreichische Statistik“ zwykle w dwa lata po spisie. Wreszcie stadium trzecie, opracowujące materiał źródłowy wszechstronnie, daje wyniki ostateczne, jak najbardziej szczegółowe — rzeczywiście w kilka lat po spisie. I p. Choroszewski ma słuszność, nie uznając danych, które nam są obecnie znane, za ostateczne. Jednakże zbieg okoliczności chciał, że właśnie dane ostatniego spisu, które już obecnie rozporządzamy, posiadają wartość bez porównania większą od „sumarycznych“ danych spisów dawniejszych. A to skutkiem zabiegów Krajowego Biura statystycznego, które tym razem postarało się o przedsięwzięcie samodzielnej pracy, nie czekając na Wiedeń. W ten sposób otrzymaliśmy opracowane przez d-ra St. Kasznicę i d-ra M. Nadobnika „Najważniejsze wyniki spisu ludności i spisu zwierząt domowych według stanu z d. 31 grudnia 1910 r. (Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, t. XXIV, zes. I, Lwów, 1911). Nie są to jeszcze dane ostateczne, ale ponieważ oparto je na materiale sprawdzonym, skorygowanym i uzupełnionym w Namiestnictwie, następnie zaś poddano 4-miesięcznej pracy zawodowych statystyków, przeto do ostatecznych są jak najbardziej zbliżone. Jak twierdzą autorowie wyżej wzmiankowanego dzieła „dane, zawarte w niniejszej publikacji, uchodzić mogą prawie za ostateczne“. Mając więc je w ręku, mogłem słusznie postawić mapom p. Choroszewskiego zarzut, iż są przestarzałe.

Leon Wasilewski.

oooooooooooo

Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



W Oddziale Częstochowskim P. T. Kr. w I półroczu r. b. odbyło się 7 posiedzeń, z czego 4 zarządu a 3 ogólne, na których wypowiedziano 2 odczyty urozmaicone pokazami: „Nieznane zakątki kraju“ i „Podróż malownicza z biegiem Wisły“. Zainteresowanie było małe — obecnych znajdowało się po 25 osób najwyżej.

Z projektowanych wycieczek udała się tylko jedna w dniu 2 maja do Zagłębia Dąbrowskiego, gdzie dzięki uprzejmości wice-prezesa Drzewieckiego zwiedzono Hutę Bankową i kopalnię Paryż, oraz kościół w Sosnowcu, a wieczorem zaproszono wycieczkę na tygodniową pogawędkę Oddziału w Zagłębiu. Osób było 31, przeważnie z fabryki „Częstochowianka“ na Blesznie; miasto, jak zwykle, za wyjątkiem 3—5 pań pozostało obojętne pomimo reklamy i zachęty.

Projektowane wycieczki do Warszawy na wystawę krajobrazu, do Cieszyna (Śląsk Austr.), do



Mirowa i Bobolic (okolice Częstochowy) do skutku nie doszły.

Na lipiec projektuje się wycieczkę 8 dniową do Sandomierza.

Członków w r. b., nietylko że nie przybyło, lecz z powodu wyjazdu ubyłoby około 7-iu. Cyfry to niezbyt ciekawe i wesołe, jest jednak nadzieja, że wkrótce nastąpi zmiana na lepsze.



Ze stowarzyszeń.

+ Dnia 25 lutego 1911 roku w celu uczczenia ś. p. Wacława Nałkowskiego utworzony został przy Kółku Przyrodników Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie fundusz Jego Imienia, w celu niesienia pomocy naukowej młodzieży Uniwersytetu Jagiellońskiego w studiach fizyograficznych. Do dnia dzisiejszego sprawozdania wpłynęło do kasy funduszu:

Opodatkowanie członków Kółka Przyrodniczego	51 k. — h.
Zebrań podczas XI zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie	348 „ 60 „
Dary profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego: O. Bujwida, Ign. Chrzanowskiego, E. Godlewskiego, J. Grzybowski, N. Hoyer, K. Olszewskiego, J. Rostafińskiego, A. O. Rudzkiego	240 „ 00 „
Od Redakcji Wiadomości Matematyczno - Fizycznych w Warszawie	100 „ — „
Od d-ra W. Mierzejewskiego	20 „ — „
Drobne	10 „ 12 „
Razem 769 k. 72 h.	

Suma powyższa została złożona w Banku Ziemskim na książeczkę № 754 na 4 $\frac{1}{2}$ %. Na mocy uchwały Walnego Zgromadzenia w dniu 27 stycznia 1912 r. procent do chwili dojścia funduszu do wysokości 1000 kor. dolicza się do kapitału. Od chwili, gdy wyniesie on 1000 kor., procent zostaje pobierany na cele naukowe, wymienione w akcie założenia.

Wszystkim, którzy pośpieszyli z darami, Kółko Przyrodników U. U. J. składa niniejszem serdeczne podziękowanie.

Dary na fundusz im. Nałkowskiego przyjmuje Kółko Przyrodników U. U. J. Kraków, ul. Św. Anny lit. 6.

+ Związek naukowo-literacki im. J. Słowackiego w Stanisławowie, który postawił sobie za cel podnosić i szerzyć kulturę polską w Stanisławowie, aby ożywić ruch naukowy w tem mieście,

ogłasza niniejszem konkurs na pracę naukową objętości 3—12 arkuszy druku, formatu większej 8^o z zakresu krytyki literackiej, estetyki, psychologii, historii, nauk przyrodniczych, społecznych i t. p., tyczącą się zagadnień współczesnych a nadającą się tak ze względu na temat, jak i opracowanie do rozpowszechnienia. Za pracę uznaną przez sąd konkursowy (którego skład później będzie podany do publicznej wiadomości) jako najlepszą, wyznacza się nagrodę w kwocie 150 koron, z warunkiem, że wszelkie prawa własności do niej przywiązane, przechodzą na Związek naukowo-literacki imienia J. Słowackiego w Stanisławowie. Prace z godłem i nazwiskiem autora w kopercie należy przysyłać do pomienionego Związku na ręce prof. Maryana Piątkiewicza w Stanisławowie, ul. Kilińskiego l. 31 do dnia 1 listopada 1912 r. Nienagrodzone na konkursie prace zostaną autorom zwrócone.



Z piśmiennictwa.

W zeszyte 9-10 „Wychodźcy Polskiego“ zdaje sprawę p. Aleksander Borowiński z wrażeń, jakie odebrał, zwiedzając parę wsi, zamieszkałych przez osadników polskich w pow. bałagańskim, gub. irkuckiej. Wrażenia to niewesołe, niekiedy wręcz beznadziejne. Po przejeździe szczupłej pomocy rządowej 100—150 rubli osadnicy mrą głód poprostu, zwłaszcza że największym przywiezionym kapitałem okazała się suma 1500 rb., a większość przyjechała za pożyczane pieniądze. Co gorsza całkiem tylko znikomym odsetkiem osadników jest obeznany z pracą na roli—reszta to robotnicy fabryczni i rzemieślnicy. Więc też choć rodzina osadników otrzymuje po 15 dziesięcin na każdą męską głowę (począwszy od 5 lat), maximum uprawnej ziemi np. w Aleksandrowskim ucząstku wynosi u jednej rodziny 6 dziesięcin, średnio 1—2 dziesięcin, 7 zaś osadników nic nie zasiało, a co gorsze więcej niż połowa rodzin mieszka nie w chatach, których po dwóch latach nie zdążyła postawić, tylko w lepiankach. Nie lepiej przedstawia się sytuacja w największej kolonii polskiej w górnym biegu rzeki Idy, dopływu tyle pamiętnej w dziejach martyrologii polskiej Angary. Wieś ta, zwana Wierszynino, położona jest o 120 wiorst od Irkucka, co wyłącza możliwość dodatkowych zarobków przy kolei lub na kopalniach; u buryatów zaś, usposobionych przytem dla osadników jak najgorzej, zarobić można 20 kop. dziennie i herbatę z chlebem. I tu na 75 rodzin znalazło się 3 czy 4 rolników, największy kapitał wynosił 600 rb., a średnio obsiewają wychodźcy 1—2 dziesięciny.

Na interwencyę autora Urząd przesiedleńczy wydał osadnikom dodatkowe zapomogi po 50 rb. na



rodzinę i po 2 funty zboża na głowę przez 9 miesięcy, nie kryjąc się z tem, że uważa polaków za materiał osadniczy b. pośledni. W całym powiecie bałagańskim jest już do 1200 osadników-polaków; oczywiście o żadnej organizacji i systematycznym nadzorze nad nimi niema mowy. Zdaniem autora ludność ta nie tylko wynaradawia się niesłychanie szybko, ale i przerażająco dziczeje. Jest jednak możliwość według prawa obowiązującego zakładania szkół z językiem wykładowym ojczystym — niema tylko komu ich zakładać i niema komu w nich uczyć.

oooooooo

Nowe książki.

Fr. Bąkowski. Mapa Pomorza Kaszubskiego 1:200000. Nakładem Oddziału Łódzkiego Pol. Tow. Krajozn.

Wydaniem tej pięknej i starannie opracowanej mapy uczynili zadość—autor i nakładca—palącej potrzebie. Dziś, kiedy polski ruch turystyczny zaczyna zwolna ale stale zwracać się ku pobrzeżom Bałtyku, kiedy dla kuracyi czy wypoczynku wyjeżdżają tam dziesiątki tysięcy polaków rok rocznie, czas jest przejść od bezplodnych frazesów do konkretnego, choćby skromnego czynu.

Takim pierwszym krokiem jest właśnie mapa p. Bąkowskiego, autora dwóch ciekawych map, umieszczonych w naszym zeszyt rocznym „Pomorzu Kaszubskim“. Celem mapy było dać jasny, plastyczny obraz kresów naszych w pewnym uproszczonym skrócie, co zresztą zawarunkowane było niezbyt wielkimi rozmiarami mapy. Możliwość się pospierać nieco z autorem, czy bez szkody dla tej jasności nie dałoby się na tej samej przestrzeni umieścić nieco więcej nazw i dróg, czy mapa ta, bodajby zastępczo, nie mogłaby służyć do oryenta-

cy pieszym turystom, wypierając choćby częściowo wielkie mapy niemieckie — sztabowe i turystyczne. Ale żeby tej pierwszej — o ile wiemy — naszej mapie Pomorza nie rzucać kamieni pod nogi, raczej wyrazimy życzenie, żeby ją jak najrychlej uzupełniły bardziej szczegółowe, do orientacji na terenie służące mapy szczegółowe. Ta, jako mapa ogólna, będzie zawsze miała swą wartość. Jedyne sposoby oznaczania miast — nie jednakowymi kółkami — ale różnorodnymi znakami zależnie od wielkości i charakteru miejscowości należałoby zmienić w przyszłych wydaniach.

Do mapy dodano szczegółowy spis nazw w brzmieniu polskim z tłumaczeniem niemieckim i odwrotnie bardziej różniących się od brzmienia polskiego nazw niemieckich z równoległym podaniem nazw naszych. W rogu mapy umieszczono mapę stosunków narodowościowych (1:1000000) z oznaczeniem obszarów, gdzie polacy są w większości i gdzie stanowią 10—50% ogółu ludności.

Pod względem typograficznym mapa — pomijając nieco zbyt słabo odbite rzeki — przedstawia się bardzo schludnie i mile.

T-t.

oooooooo

SPROSTOWANIE.

Do cennej pracy p. Michała Federowskiego „Zbiory graficzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem“ zakradła się w № 29 przykra pomyłka. Mianowicie na str. 468 w 13 wierszu drugiej szpalty opuszczono po wyrazach „pieczę nad nią“ początek zdania następnego: „aż do czasu“, co nie tylko zmieniło sens tekstu, ale go uczyniło fałszywym historycznie. Poprawiając ten lapsus skwapliwie, przepraszamy szanownego autora za przykrość mimowolnie mu wyrządzoną.

TRĘŚĆ: *S. Matusiak* — Wiano i posąg (c. d.) *M. Federowski* — Zbiory graficzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem (c. d.). *Gabryel Prószyński* — Szlakiem do Kamieńca (z mapą). *Stanisław Lencewicz* — Z badań fizyograficznych nad Pilicą (z 4 ryc.). *M. F.* — Witebsk i Witebszczyzna (c. d.). — Listy do Redakcyi. — Z Polskiego Towarz. Krajoznawczego. — Ze stowarzyszeń. — Z piśmiennictwa. — Nowe książki. — Sprostowanie. — Poza tekstem: Księżacy z Łowickiego w strojach weselnych. Widok ogólny zamku w Pilicy.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.